

# W ŻŁOTEJ KLATCE

Opowiadanie z prawdziwego zdarzenia.

(Dalszy ciąg).

Wtedy nazawsze już straciłem nadzieję powrotu do domu. Nie miałem nawet czasu myśleć o tem, bo życie jakie zacząłem nie zostawiało mi jednej swobodnej chwili. Wtedy poznałem, że ten rok który przebyłem jako syn cygana był razem w porównaniu z nowym tem życiem. Moją nauką zajął się sam dyrektor, a ile wycierpiałem od niego, Bóg wiecieć tylko może. W nocy męczyłem się nie mogąc się do snu ułożyć bo za najmniejszą rzecz dostawałem od niego batem! Koni nie bałem się wcale, przywykłem do mego kucyka, ale najtrudniej mi było oswoić się z innemi zwierzętami. Na sam ryk przeraźliwy lwów, dostawałem dreszczy, a cóż dopiero kiedy musiałem rzucić się między nich! Z początku, dopóki nienawykły uspokajać się na mój widok, nosiły kagańce, ale pomimo to nieraz byłem podrapany do krwi. Raz, pamiętam, kiedy nie mogłem się odważyć wejść między nich, „on” kazał mnie zamknąć do klatki na kilka godzin. Usiadłem drżący w kąciku i myśląc że już mnie pewnie rozszarpia, przymknąłem oczy i zacząłem się modlić do mojej mateczki by mnie obroniła od śmierci. Wysłuchiwała mnie widocznie, bo lwy, kolejno obwahały mnie w około i odeszły drzeć spokojnie.

Prócz tego, dla wyrobienia siły musiałem podnosić ciężary co tydzień większe, co robię do dziś dnia ciągle. Teraz podniosę już z łatwością dwieście funtów, a byłbym jeszcze daleko silniejszy gdyby dawano nam jeść więcej. Jemy tu wszyscy dwa razy dziennie tylko, rano i po przedstawieniu, i to bardzo niewiele, nieraz więc jestem bardzo głodny, a szczególnie wtedy gdy on się rozniewa i zamknie mnie na noc bez jedzenia w ciemnym składzie. Ale widać ludzie wiele sił mieć muszą, skoro tak żyć mogą długo. Już piąty rok jak tu jestem, i żyję... dodał smutnie poruszając głową. Żyję, choć nieraz pragnąłbym umrzeć i nie dbając o niebezpieczeństwo rzucam się bez pamięci pomiędzy lwy lub konie. Podziwiam moją odwagę!... bo nie wiedzą że to jest odwaga rozpacz... I żeby choć wiedzieli kim jestem naprawdę, żeby mnie nie brali za Anglika, którym mnie tylko „on” zrobił dla większego efektu!... Ale i temu nie wolno mi jest zaprzeczyć, bo skoro raz zobaczył mnie rozmawiającego z posługaczem który przypadkiem był Polakiem, to jego wypędził natychmiast, a ja odebrałem plagi i raz na zawsze zabronił mi odzywać się mym językiem. Kazał mi go zapomnieć... łatwo to mówić! to to samo co żądać odemnie bym zapomniał że miałem matkę... Ja mojej matki nie zapomnę nigdy... nigdy... Mój Boże! na takiego więc wyrosłem bohatera. Czy też spodziewała się tego mateczka, usypiając mnie niegdyś pieśnią!...

Zamilkł. Ukrył twarz w dłoniach i łkał cicho. Płacz tego dziecka co czuło i wypowiedzieć umiało więcej może od niejednego dorosłego człowieka, miał za wtór huczną wesołą muzykę, której takt wybijał tętent kopyt końskich i klaskanie bicza...

Chciałem go pocieszyć, lecz zabrakło mi na to słów. Patrzałem na te łzy czyste co toczyły się po drobnych wychudzonych rękach, myśląc, że o wiele droższe, szlachetniejsze są one od najczystszych pereł Ophiru, i od tej szarej doli cyrkowego bohatera. Siedziałem tak czas jakiś zadumany, a gdy się ocknął Jerzy wciąż jeszcze płakał. Postanowiłem nie powstrzymywać tego wylewu łez, który mógł mu przynieść ulgę większą niż moje słowa współczucia, uściśnłem mu dłonie w milczeniu i szepnąwszy: do jutra, wybiegłem na ulicę. Szybko jak błyskawica przebiegła mi myśl uwolnienia nieszczęśliwego dziecka, Uprowadzić go z cyrku w swobodnej chwili a potem copędzej wysłać gdzieś daleko... a następnie odnaleźć jego rodziców... wszystko to wydało mi się łatwem do wykonania przy pomocy kolegów.

Pocziwi chłopcy przyobiecali mi dopomódz, właśnie jeden

z nich miał wyjeżdżać na parę dni do rodziców... należało tylko uprzedzić mego małego przyjaciela... Następnego więc dnia wszedłem przez niedomknięte drzwi do wnętrza cyrku, ponieważ jednak inną drogą poszedłem jak zwykle, znalazłem się niebawem pośród łóż krzeseł, szukając oczyma przejścia wiodącego poza arenę. Ja właśnie je dojrzałem i skierowałem się ku niemu, gdy widok jaki mnie uderzył powstrzymał moje kroki. Gruby filar zasłaniał mnie przed oczami innych, podczas kiedy ja mogłem wszystko widzieć dokładnie, pozostałem więc na tem stanowisku, i oto co ujrzałem. Jednocześnie, gdy wszedłem do amfiteatru, z przeciwniej strony, z za portyery wychyliła się barczysta postać dyrektora. W rękę trzymał nahajkę, i wszedłszy podobnie jak ja, jednym spojrzeniem ogarnął wnętrze. Czynił to przecież w innem niż ja celu, bo spostrzegłszy osiodłanego konia stojącego spokojnie przy baryerze, i grzebiącego nogami w piasku, zachmurzone czoło podniósł wyżej i groźny wzrok zatopił w rzędzie numerowanych krzeseł. Jakby domyślając się czegoś złego, spojrzałem w tymże kierunku i dostrzegłem smutną, niemą scenkę mogącą być dobrym tematem do obrazka. Przez okna umieszczone w szczycie dachu wpadały jasne promienie kwietniowego słońca. Łamały się w mosiężnych kółkach i trapezach zawieszonych wysoko na kolorowych taśmach, potem spadały niżej i zdawały się ślizgać po aksamitnych łóż poręczach i muskać żółty piasek areny. Złotemi snopami światła oblewały gniadą maść stojącego konia, i nieśmiało czy też przerażone powstrzymywały się nagle, zostawiając w pół cieniu kąty tego budynku, z których choć dla widzów starano się napróżno ukryć, tchnęła atmosfera, biedy, głodu, i cierpień ludzkich. W jednej to z takich zamroczonych stron sali, na jednym z krzeseł, ujrzałem Jerzego. Miał łokcie oparte o kolana, twarz w dłoniach; spał czy też pogrążony był tak w myślach, dość że kroki dyrektora nie zdołały go nawet oprzytomnić.

Przed nim, w następnym rzędzie krzeseł, leżały rozrzucone koła do przeskakowania, sznury, i mała kepi którą zdjąć musiał dla gorąca, bo jasne pukle co mu spadały na czoło widocznie były wilgotne. Olbrzymia piłka gumowa leżała sobie spokojnie na środku areny, zaczerwieniona od blasku słońca, zdawała się tylko przypatrywać tej smutnej scenie i szepcząc coś do porzuconej obok siebie szpicruty, śmiać z ironią czy też próżnością.

Jednym rzutem oka „on” objął to wszystko; zmarszczył brwi gniewnie i głosem powstrzymującym w sobie wybuch, krzyknął:

— Harry!

Chłopiec drgnął — ręce opadły mu bezwładnie, zwolna podniósł głowę i powiększone trwogą, oczy zwrócił ku niemu z wyrazem przestrachu. Przerażenie pozbawiło go na chwilę sił, bo na wołanie nie ruszył się z miejsca. Ponowne dopiero wołanie rzuciło go ku niemu. Wtedy nagle znów siły opuściły go widocznie, bo zachwiał się, kolana mu się zgięły, i ukląkł na szmacie piasku lśniącem od promieni słońca. Te same złote blaski zagrały mu tonami na pochylonej jasnej głowce... Wyglądał wtedy jakby opromieniony aureolą świętości i niewinności, ale „jego” ta oznaka skruchy i dziecinnej obawy nie rozbroiła bynajmniej. Trzęsąc się ze złości wskazał mu batem odsonięte wejście do składów, syknąwszy tylko przez zęby: Ruszaj!... Lecz Jerzemu brakło tym razem siły. Łzy jak grad toczyły mu się po wybladłej twarzy.

Niemcowi fala krwi oblała twarz szkarłatem; muskularną dłoń porwał za ramię chłopczyne, i odrzuciwszy go ku portyerze poszedł za nim. Uczułem ścisnienie serca, chciałem biec i ratować go, lecz na cóżby się to zdało? Lękałem się jeszcze zwracając uwagę ohydneho Niemca na moje współczucie, popsuć zamierzoną sprawę. Zdała natomiast dochodziły mnie uderzenia dyrektorskiej nahajki, która ze świstem spadała na grzbiet chłopięcia... Bądźco bądź postanowiłem doczekać się na tem miejscu końca tej barbarzyńskiej egzekucji i zobaczyć się z nim choć na krótko. Wreszcie zasłona się podniosła, i najpierw wybiegł z za niej Jerzy z twarzą rozognioną, a za nim herkulesowa postać. Malec wskoczył na oczekującego konia, ujął lejce i głosem w którym drgało łka-

nie pokrzykując: Hep! Hep! puścił go galopa w koło areny. Niemiec powstał chwilę śledząc jeżdżącego, pogroził mu jeszcze batem i skrył się w głębi. Wtedy koń przebiegał właśnie obok miejsca gdzie stałem, wysunąłem się na światło i półgłosem, by mnie nie usłyszano rzuciłem za nim:

— Jak się masz Jerzy!

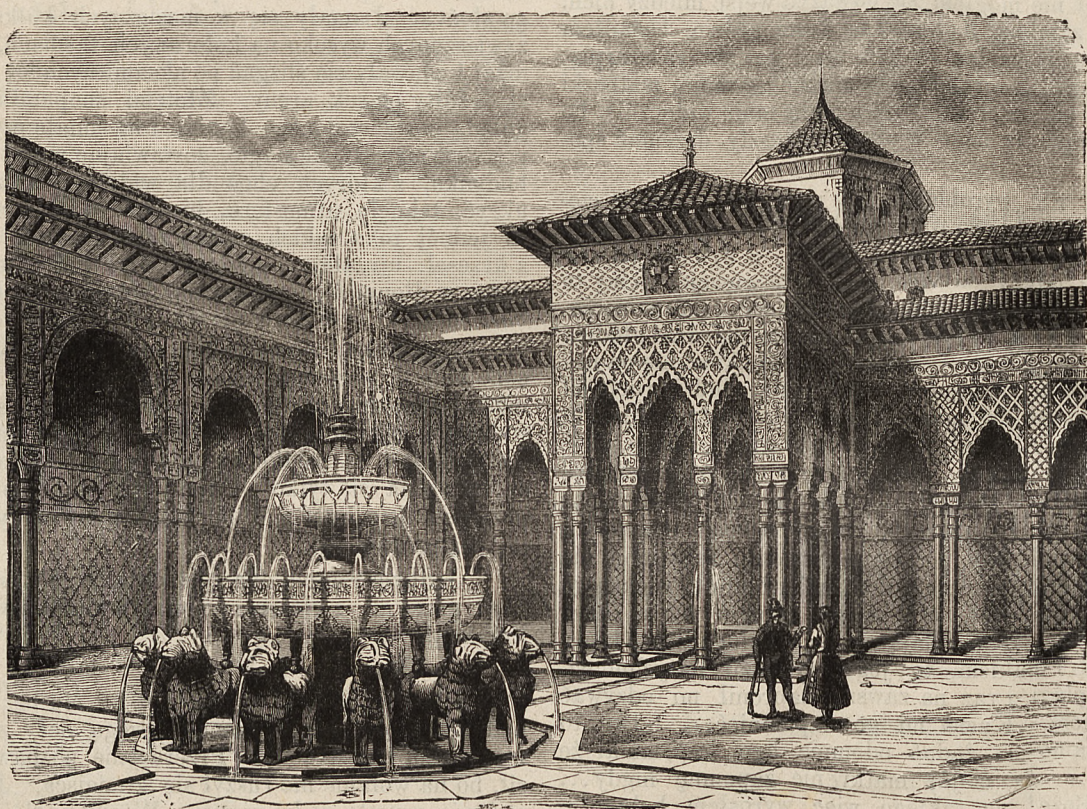
Zdziwiony odwrócił głowę, lzy pociekły mu na mój widok, ale konia nie zatrzymał. Potem znów przejeżdżając obok mnie, uśmiechnął się smutnie, lecz jakby przelekły w tej chwili własną odwagą, zaczął wołać jeszcze głośniej: Hep! hep! hej! hep!...

Daliej wykonywał szereg różnych ćwiczeń wicęć lub mniej trudnych, i dopiero gdy koń pokrył się cały białą pianą zmęczenia, zeskoczył zeń i przyszedł do mnie. Podniosłem go do góry jak dziecko, tak był lekki, i pocałowałem w czoło.

mi. Żeby pan wiedział jak mi się smutno zrobiło kiedy spojrział na tyle główek dziecinnych, które obok rodziców wyglądały wesoło, ciekawe i uśmiechnięte zewsząd. Myślałem że mi serce pęknie, mój Boże, wszystkie dzieci mają rodziców co o nich myślą i kochają, a ja?!...

— Nad tobą za to Bóg czuwa! — przerwałem jego bolesną zadumę, a potem opowiedziałem mu szybko co dla niego zamyslałem uczynić. Nie mam słów na opisanie radości biednego dziecka. Rozmawialibyśmy dłużej, gdyby nie ciężkie kroki za kulisami, na odgłos których Jerzy zerwał się i w jednej chwili wskoczywszy na konia, rozpoczął przerwane ćwiczenia.

Wyszedłem śpiesznie bocznymi drzwiami. Żał mi było tylko że przedtem, błaganom chłopca musiałem dać odmowną odpowiedź. Prosił mnie bowiem z niezwykłym wzruszeniem, żeby nie opuścić dzisiejszego przedstawienia, a tego



Dziedziniec Lwów w Alhambrze.

— Oj — syknął, gdy go stawiał na ziemi, dotykając się ramion i pleców — jak tu boli!

— Usiądź — rzekłem, prowadząc go do krzesła — będzie ci wygodniej, i powiedz mi teraz za co cię tak strasznie karano. Byłem tu i widziałem wszystko. Chciałem nawet biedz ci na pomoc, ale coby to pomogło?...

— Dziękuję panu! — odparł drżącymi od płaczu ustami — chwileczkę mogę tylko odpocząć, bo i koń zmęczony. Dobrze że pan nie przyszedł; nieby to nie pomogło; to moja wina tylko. Moja wina, bo zamiast odbywać ćwiczenia chciałem trochę wypocząć po zmęczeniu i usiadłem w cieniu. Potem sen i żał mnie jakiś ogarnął, sen, bo wczoraj bardzo późno usnąłem a dziś mnie rano zbudzili; a żał, to tak jak zwykle!

Pana dawno już nie widziałem, myślałem że pan o mnie już zapomniał, a do tego wczoraj po południu było przedstawienie dla dzieci, w którym występowałem z ośmioma kucyka-

dnia właśnie wieczorem miałem na zgromadzeniu Arkonii naradzić się ostatecznie z moimi przyjaciółmi, kiedy mianowicie uprowadzić chłopca. Kolega mój zdecydował się ostatecznie zabrać go w ostatniej chwili wyjazdu. Miałem, w odpowiednim przebraniu, które dla niego przygotowałem, uprowadzić go najpierw do mego mieszkania późno wieczorem po skończonym przedstawieniu, a następnie dostawić na kolej w oznaczoną godzinę. Wszystko to nam młodym zdawało się nadzwyczaj łatwe do wykonania, nie przychodziło na myśl że zająć mogą jakie przeszkody i obmyślane w ten sposób wyzwoleń chłopca nie da się wykonać... a gdy jeden ze starszych uczynił uwagę, że może bezpieczniej byłoby szukać dla niego opieki prawa, powiedzieliśmy wszyscy że tak będzie prędzej i lepiej. Wyszedłem właśnie po ostatniej naradzie, z chaosem w głowie i myślą zajętą nieszczęśliwym moim małym przyjacielem, gdy mi drogę zastąpił ten sam wesoły radomiak

pierwszy z wielbicieli Harrego, który mnie niegdyś namówił do cyrku. Tym razem miał nie wesołą minę i natychmiast po przywitaniu zapytał smutnie:

— Cóż, byłeś wczoraj na przedstawieniu?

— Tobie tylko w głowie przedstawienia jak widzę — odparłem śmiejąc się — nie byłem, nie mogłem wczoraj.

— Aa, biedny malec... — ciągnął jakby nie słysząc mej gadaniny.

— Jaki malec? — zapytałem przeczuwając jakieś nieszczęście.

Było to tak. Występował w najniebezpieczniejszej swej roli, pogromcy lwów. Skoro w swym białym, jak zwykle ubraniu, z sześcioma olbrzymami, wyszedł na arenę, wyglądał jak prawdziwy aniołek. Nie uśmiechał się tylko jak zwykle miał smutne łzawe oczy, co zwróciło nawet uwagę niektórych. Skoro rozwścieczone zwierzęta rwały się doń z łańcuchów, patrzył na nie czas jakiś a potem wyraźnie uczył jakiś niepokój, bo cofnął się jakby wahając pośród nich skoczyć...

W sali powstał szmer zdziwienia; z za kulis wychyliła się groźna twarz dyrektora, lecz zaledwie przebrzmiał ten



Potężny słoń spoglądał po rozbawionym tłumie...

— A no, nasz dzielny chłopak, nie nie wiesz?

— Harry?... Co mu się stało? nie żyje?

Nogi się podemną zachwiały... Oparłem się o ścianę. Oczami wyobraźni ujrzałem go takim, jakiego pożegnałem poraz ostatni: splakany, drżący, i ogarniętego tym jakimś żalem, z którego nie umiał zdać sobie sprawy.

— Pewnie że już musiał umrzeć, ale że też nie nie wiesz, całe miasto o tem tylko mówi...

Pociągnąłem go do pobliskiej kawiarni, usiedliśmy przy ubocznym stoliku i tam wysłuchałem szczegółów o wczorajszej katastrofie. Biedny Jerzy! Czemuż nie byłem przy nim. Czemuż nie pośpieszyłem się go uwolnić!

szmer, gdy rozległ się ze wszystkich stron krzyk przerażenia. Chłopiec wskoczył między zwierzęta, a te rzuciły się na niego. Nadbiegła służba, ale zanim zdołała lwy poskromić, wydobyło już martwe ciało. Gdy go wynoszono z areny, otworzył jeszcze wprowadzie mgłą zasłże oczy, odetchnął ciężko, otworzył usta jakby chciał coś powiedzieć, ale słowa zamarły mu na stygnących wargach, i skończył.

— A może on nie umarł, może żyje jeszcze! — zawołałem w końcu, i pobiegłem szybko do stajni cyrkowej. Spytałem o Harrego, lokaj milcząc wskazał mi ręką przejście, i skoro stanąłem na progu składu, smutny widok przykuł mnie do miejsc. Prócz martwych zwłok dziecka nie było tu niko-

go. Wśród stosów różnych cyrkowych rupieci, na ławce zarzuconej dywanami pod ścianą, leżał w tem samym białym ubraniu, podartem i krwią zbryzganem.

Zbielała twarzyczka uśmiechała się jakąś nadziejską radością, czarne rzęsy niezupełnie przysłaniały mu przymknięte oczy, i odbijały od jasnych pukli włosów, rozrzuconych jak aureola naokoło małej główki. Nie wyglądał na więcej jak na lat dziesięć i niktby nie powiedział że to drobne dziecko, miało tyle fizycznej siły i moralnych przymiotów duszy. Cicho tu było i ciepło. Świerszcz skrzeczał gdzieś w ścianie za rupieciami, i zdala czasem doleciała gamma śmiechu członków cyrkowych, zebranych na ranną próbę.

Nachyliłem się, z białego czoła martwego usunąłem miękie włosy, i złożyłem na niem ostatni pocałunek.

— Żegnaj mi Jerzy, tam, będziesz wiele szczęśliwszy! — szepnąłem.

I wtedy, poraz ostatni widziałem mego przyjaciela. Nie byłem nawet na jego pogrzebie, bo nikt objaśnić mi nie mógł jak, gdzie i kiedy go pochowają. Tak zresztą mało obchodziło to ich wszystkich!...

... Wujcio Kazio zamilkł. Przez otwarte okno wlatywał zapach kwiatów, i dochodziły trele słowików. Księżyc oświecał jasno jego profil i chłopcy, którzy opowiadania słuchali z całą uwagą, dostrzegli na twarzy tego wesołego zawsze wujaszka, ślady wielkiego wzruszenia.

— Biedny Jerzy! — szepnął smutnie Włodzio.

Józio chciał również coś powiedzieć, ale łkanie ścisnęło mu głos w gardle, schował więc głowę w poduszkę i milczał.

— A teraz osądźcie sami — zapytał po chwili cisz, ocknąwszy się ze smutnej zadumy wujcio — czy można zazdrościć losu takim cyrkowym bohaterom?

— O nie — zawołali obaj z zapałem.

— Nie, bo życie ich, to owa szara dola, która ludziom każe zapominać, iż są stworzonymi na obraz i podobieństwo Boga, i zapominać iż mają w piersi serce i myśli, wyższe, wznioślejsze nad poziom potrzeb codziennych, bo to duch ludzki uwięziony: w złotej klatce...

To też jak kiedy spotkacie chłopcy takiego małego bohatera, nie zazdroście mu, lecz pomyślcie, że dzieci podobne, niestety, to męczennicy w imię — zabawy...

V. Cairo.

## KWIATEK.

Ózemu kwiatku, liście twoje tak powędły szybko,  
Czyż ci mało tu powietrza za tą szklaną szybą?  
Czyż ci mało ciepła, wody i mego starania,  
Ze się każdy twój listeczek tak ku ziemi skłania?

Kwiatek na to: „Mam ja ciepło i starań do syta,  
Woda także na mnie spływa strumieniem obfita.  
Lecz mi tęskno do słońeczka, co skryte za chmury,  
Nie darzy nas swoim wzrokiem tam od niebios z góry.

Tęskno także do powietrza, do niebios błękitu,  
I do jasnej rannej zorzy wschodzącej od świtu...  
I wyszeptał kwiatek mały, wszystkie swe tęsknoty,  
A dziewczę je zrozumiało. I gdy promień złoty

Wpadł przez okno do pokoju złocistemi smugi,  
Dziewczę kwiatek wystawiło raz jeden i drugi,  
Wnet się kwiatka smutne listki rozsiała do słońca,  
Okrywając barwnym kwiatem od końca do końca.

Z. Morawska.

## KAKAO.

Kiedy w r. 1500 Hiszpanie przybyli do Meksyku, bardzo polubili napój, powszechnie przez krajowców używany, znany w języku meksykańskim pod nazwą czekolady.

W r. 1520 przywieźli Hiszpanie ziarna kakaowe do Hiszpanii, zkaąd kakao wkrótce przeszło do Włoch i Francji. W tych też krajach do dni obecnych najwięcej go spożywają.

Ładne niewielkie drzewko kakaowe o połyskujących ciemno-zielonych liściach, rośnie prawie wyłącznie w środkowej Afryce i w północnych częściach Ameryki południowej, a w niektórych okolicach jak Demarara tworzy całe lasy. Owoc jego podobny do dużego ogórka, mieści w gąbczastym miększu 6—30 znanych ziarn kakaowych. Z wyluskaniami ziarnami w dwójaki postępują sposób, albo je bezpośrednio po wysuszeniu sprzedają, lub składają na stopy, aby lekko fermentować poczęły; poczem dopiero je suszą wysypują w beczki i wywożą do Europy. W ten sposób przygotowane ziarna są mniej gorzkie i cierpkie.

Ziarno kakaowe posiada wewnątrz barwę ciemno-brunatną, smak podobny do smaku starego orzecha i stanowi bardzo posilne pożywienie; wszakże nadmiar olejnych tłustych pierwiastków sprawia iż bez pewnych domieszek używaniem być nie może. W rozmaity też sposób bywa przyrządzane, nigdy prawie nie używają go na surowo. Prażą je jak kawę, dopóki nie pocznie wydawać miłego aromatu. Wypalone ziarno, po ostudzeniu staje się bardziej kruche, jest koloru jasno-brunatnego, mniej gorzkie i mniej cierpkie niż ziarno surowe. Można teraz łatwo oczyścić je z łupinek, poczem albo bywa mielone i sprzedawane w proszku, albo po dodaniu mączki krochmalnej, cukru i wanilii, przerobione na tabliczki czekolady.

Odwar z łupinek kakaowych jest napojem przyjemnym i lekkostrawnym, przeważnie więc go używają osoby słabe i delikatne.

Henryk Wernic.

## W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

Wkrótce wpłynął na rzekę Hugly, będącą właściwie zachodnią odnogą Gangesu, i minawszy „Diamond-harbour” port odpowiedni dla wielkich okrętów, zręczny nieduży parowiec, jak wszystkie mniejsze statki, dotarł aż do samej Kalkuty. Uroczę lub pyszne i wspaniałe wille, pałacyki, ogrody rozsiane gęsto na obu brzegach rzeki, wcale nie zajmowały Anglików, zakłopotanych własnymi sprawami, sama zaś rzeka budziła tylko bardzo usprawiedliwiony wstręt, gdyż wody jej szkaradnie zanieczyszczone, zarówno jak cały Ganges, unosiły zwłoki wiernych, które Hindusi mają zwyczaj wrzucać w nurty świętej rzeki, dla zapewnienia im szczęścia wiecznego. W obrzydliwej tej wodzie tu i owdzie gromadnie kapali się krajowcy, ku oczyszczeniu, jeżeli nie ciała, co mogło podlegać wątpliwości, to niewątpliwie duszy... wedle ich mniemania.

— Kto wie, może oni mają słuszość; istotnie, za wykąpanie się w takiej wodzie, możnaby jak za największą pokutę, dostąpić odpuszczenia grzechów — mruzczeni Anglicy, zatykając nosy i chroniąc się mimo strasznego upału do głębi kajut o szczelnie pozamykanych otworach, dla nie dopuszczenia owego *świeżego* miejscowego powietrza.

— Jakim cudem ludzie nie wymarli tu oddawna, co do jednego? — pytali się wzajemnie Anglicy.

— Olbrzymio żarłoczne ryby i ptaki czynią, co mogą, a mogą wiele w tym względzie — rozwiązał kwestyę kapitan.

Milionowa dwulicowa stolica, spokojna mimo zaburzeń w całym kraju, z Czarnem miastem o glinianych i bambusowych chatach krajowców, i Białem miastem o przepysznych gmachach, godnych pierwszorzędných stolic europejskich, ze

sławną cytadelą zwaną „fortem William”, i wszystkie „et cetera” wspaniale wielkomięskie, nie więcej obchodziły Anglików, jak rzeka Hugly. Będąc już tutaj jednakże, próbowali jakkolwiek bez nadziei powodzenia, zanieść prośbę do władzy, o wysłanie oddziału wojska do Tungary. Odpowiedziano im że niepodobna rozpraszać sił wojennych, rozsyłając je po mało znaczących mieścinach; dobrze zrozumiany interes ogółu nie pozwala na to. Działac należało w głównych centrach, za których przykładem mieściny i wioski same z siebie iść zwykły. Zatem podniósłszy tylko część sum, jakie mieli złożone w miejscowym banku, panowie Thorn i Mac-Ulm wrócili na pokład swego parowca, przekonani jeszcze mocniej że w odzyskaniu córki i urzędzeniu interesu, na własne tylko siły liczyć mogą. Kapitan Lory oddawszy więźniów i niewolników, i summy zabrane na Sumatrze, złożwszy odpowiedni raport, nie miał tu także nic więcej do czynienia. John i Harry jedynie zachwycali się Kalkutą, godzinami stojąc z otwartymi z podziwu ustami na placu przed jakąś świątynią w indyjskiej dzielnicy, gdzie lud posilał się śpiewając i przypatrując widowisku. Bajadera, czyli tancerka tańczyła tu przy dźwiękach bębenków, czarownik jakiś postawiwszy ogromny kosz na ziemi, wywoływał z niego straszliwe węże, igrając z nimi w najrozmaitszy sposób, a potężny słoń, dźwigając na grzbiecie mienie i sprzęty całej trupy skoczków kuglarzy, wyprawiających u jego stóp przeróżne sztuki, spoglądał po rozbawionym tłumie swemi mądrymi, pobłażliwymi oczami.

W chwili wsiadania napowrót na parowiec, Mac-Ulm położył rękę na ramieniu Thorna, mówiąc:

— Dwa szczerze słowa, przyjacielu!...

— Czy kiedy inne zamieniane bywają między nami? — zdziwił się Thorn.

— A więc... ty który przypadkiem czy wyjątkową łaską losu masz w tej chwili wszystko, co najdroższego posiadasz, to jest tych synów, i znajdujesz się z nimi w miejscowości bezpiecznej, pozostań tutaj!... umiej ocenić twe szczęście, pozostań w Kalkucie dopóki Indye nie wrócą do poprzedniej równowagi. Zegnaj mi!

— Co?... a ty rzucisz się napowrót na drogę, na której wspierałeś mnie dotąd i dopomagałeś do odzyskania mego dziecka, będąc pozbawiony własnego? — Thorn nie dokończył, odwróciwszy się, pierwszy wszedł na pokład Almavivy.

Przy wygodnym życiu jakie prowadzono na statku, William, zarówno jak ludzie poranieni podczas zdobywania Sumatry, przechodzili do zdrowia, otoczeni umiejętnym staraniem lekarza okrętowego. Gdy ciemna linia ukazująca się w oddaleniu zapowiedziała zbliżenie się do rangorskiej zatoki, Mahora, Rahib i Wilko najciężej ranny i najprędzej uzdrowiony skutkiem potężnej sprężystości dzikiej swjej organizacji, zajęli się zmianą ubioru. Przebrania tego celem było złudzenie ich współziomków, przypuściwszy, że ci mogli pamiętać i poznać dostarczycieli wina z piwnicy Sihala, na których już wówczas w daną chwilę pragnęli się zemścić. Gdy William znikł z pokładu Sumatry, poznali oni działanie owego wina i ze zwykłą sobie bystrością odgadli odrazu źródło złego. Przebranie zasadzało się na podmalowaniu twarzy i ciała odmiennym odcieniem, jako też na innym układzie włosów i odmiennych ozdobach, co wszystko razem nadawało trzem naszym Indyanom, charakter synów jednego z najodleglejszych plemion półwyspu. Następnie wraz ze wschodem słońca wsiadli oni do małej łodzi, zaopatrzeni w umówioną sumę, i wkrótce jako drobny punkcik zniknęli w stronie wybrzeża. Almaviva krążył w jednakowym zawsze oddaleniu, pozwalając się dostrzedz z wybrzeża, ale nie poznać. Któż potrafiłby rozśnuć całą tkankę marzeń i nadziei, jaką kilka niespokojnie bijących serc usnuło przez dzień ten na pokładzie parowca, podczas gdy oczy zachodziły łzami z wytężeniem wpatrując się w stronę, w której zniknęła łódka... któż wypowie szal niepokoju, jaki ogarnął ich, gdy ujrzeli powracającą ją pod wieczór... Gdy dopływała zdołano zaledwie powstrzymać młodych Anglików, aby nie rzucili się w morze na spotkanie łodzi. Niestety, wszystkie nadzieje zawiodły; Klary nie znaleziono. Trzej wierni słudzy przebiegli wybrzeże we wszyst-

kich kierunkach, zwiedzili chaty Sihala i kryjówkę w lesie, wywoływali umówione pomiędzy Chińczykiem i Hindusami hasło... wszystko napróżno, nie było nikogo na wybrzeżu, ani nawet śladów, na których poszukujący znali się doskonale. Snadź dotąd jeszcze nie przyprowadzono tu Klary, lub może zamiar ten zmieniono.

Zawód ten wklajający wszystkie nadzieje, w pierwszej chwili zupełnie zbłąkał Anglików, na razie nie wiedzieli wcale co im czynić pozostaje. Dopiero gdy Mahora zaproponował: „dowiedzieć się w Tungary”... zawołano:

— Wracajmy do Tungary, tam bądźco bądź dowiemy się czegoś przynajmniej.

Almaviva w nocy przybił do lądu, ukrył się w pewnym oddaleniu od zatoki rangorskiej, z kąd jednak można ją było widzieć dokładnie, o czem wiedział kapitan Lory, który nieraz już obserwował ową podejrzaną miejscowość z tego punktu. Anglicy chcieli natychmiast dostać się na ląd i puścić w drogę, korzystając z chłodu nocnego, licząc na swoich trzech Indyan, że i w nocy potrafią odnaleźć właściwy kierunek. Kapitan Lory nie pozwolił przecież na to, z powodu, że wylądowanie bardzo dogodne tam w dzień, niebezpiecznem było w nocy, dla skał podwodnych. Wstrzymano się zatem. W chwili gdy ognista słoneczna kula, jak zwykle w tych stronach, prawie bez poprzedniego świtania, załała nagle jaskrawym blaskiem świat pogrążony przed chwilą w ciemnościach, kapitan otoczony przyjaciółmi stał już z lunetą w rękę na pokładzie, przypatrując się bacznie wybrzeżu. Nagle wydał okrzyk radości:

— A wszak to Indyanie!... jeden, dwóch, trzech... tam oto dwóch znowu! wyraźnie śledzą coś na morzu, Chińczyka prawdopodobnie, zapewne pannę Mac-Ulm przyprowadzają złoczyńcy teraz właśnie; jeżeli nie puszczą się wybrzeżem ku nam i nie odkryją Almavivy, poprzedni plan jest do wykonania!

— A więc korzystajmy z chwili, zanim zdołają go odkryć, dalej do łodzi, towarzysze! — zawołał Mahora, i znów wszyscy trzej siadali do niej jak wczoraj, gdy kapitan powstrzymał ich zakłopotany, bo serdecznie polubił trzech Indyan i rzekł:

— A jeżeli, co bardzo być może, są między nimi i ci, których częstowaliście zaprawionem winem, a oni za to, gdy was poznają mimo przebrania, poczęstują was nożami lub maczugą?

Było to ważne pytanie. Pytanie bez odpowiedzi. Młodzi Anglicy stanęli pomiędzy swymi Indyanami i łodzią, spoglądając na kapitana, a ten po chwili namysłu odrzekł, zrozumiawszy tę niemą prośbę o radę:

— A gdybym też pozostawiwszy tylko najkonieczniejszą obsługę na parowcu, poszedł wraz z całą załogą i z wami przyjaciele na ląd?... Poszlibyśmy poza temi ot zarośniętymi, a dostawszy się wąwozem do lasu, otoczmy pocichu znaną nam teraz kryjówkę Hindusów, i upatrzwszy chwilę ucztę lub spoczynku, gdy wszyscy będą zgromadzeni, strzelać będziemy w gromadę, aż wymordujemy ich jak szczurów w norze!... choćby ich było dwa razy więcej niż nas.

Stłumiony przez ostrożność, ale pełen gorącego zapału okrzyk odpowiedział na te słowa. Młodym Anglikiem zabłyśnęły oczy, bo wszakże to był ich własny plan, plan Jerzego przy pierwszym z dzikimi w leśnej kryjówce spotkaniu, z tą tylko różnicą, że teraz napastujący będą mieli siły zdwojone, załogą Almavivy. Zapał i pewność zwycięstwa tak dalece ogarnęły wszystkich, że nie słyszano nawet uwag Thorna, przekładającego niepewność walki z niewiadomym liczebnie nieprzyjacielem, i bezwarunkową wyższość podstępny nad bój otwarty, w sprawie z dzikimi.

Plan wypełniono doraźnie. Pozostawiwszy tylko konieczną obsługę parowca i umówiwszy się z pozostałymi co do sygnałów, młody kapitan przebił z towarzyszami na łodziach, małą przestrzeń dzielącą ich od lądu, i uzbromieni od stóp do głów, ruszyli wszyscy sznurem, milcząc i przychyłając się wśród zarośli, potem zaś weszli w wąwóz a raczej łożysko wyschłego potoku, który ukazywał się dalej. Doszedłszy do lasu trzeba było wydostać się z wąwozu i przedzierać z największym tru-

dem przez gestwiny. Co chwila stawano nieruchomie, wstrzymując oddech nawet, a Mahora, Wilko i Rahib śledzili obroty nieprzyjaciół, przykładając ucho do ziemi. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że znaczna ich liczba znajdowała się zgromadzona w zwykłej kryjówce, inni zaś wybiegali często pojedynco na brzeg lasu, prawdopodobnie nie wiedząc dotąd co się stało z Sihalem i nie podejrzewając prawdy, tembardziej że chaty na skałach nie okazywały śladów walki ani rabunku. Dzicy, zdziwieni brakiem wygodnego pośrednika, sami usiłowali wypatrzyć na morzu kupców, na nieszczęsny towar. Anglicy postępowali dalej, mocno zakłopotani, bo gdy pierwszy zapal wzniecony junackim planem młodzieńczego kapitana, ochłodził trochę podczas długiej, trudnej a milczącej przeprawy do lasu, wszystkim teraz przyszło na myśl to, o czem od początku myśleli i wspominali dwaj ojcowie, mianowicie, że jeżeli Klara znajduje się istotnie pomiędzy dzikimi, to „paląc w gromadę” można łatwo zamordować i biedne dziewczętko... Oczywiście sama myśl ta dostateczną była, aby sparaliżować najbardziej ochoczy zapal wojenny. Już tylko jedna ściana gestwiny przedzielała przybywających, od miejsca, w którem zasypane złomami skał łożysko wyschłego potoku, stanowiło przejście do wnętrza ukrytej doliny, legowiska dzikich, gdy Wilko słuchający znowu uchem przy ziemi, zerwał się szepcząc z oznakami przerażenia:

— Idą!... wychodzą! idą! już tu są!... — Na znak kapitana, który jedni dawali drugim, wszyscy stanęli jak wryci w gestwinie, nie można też było zrobić inaczej, bo dzicy ukazali się już, jeden za drugim wychodząc z pomiędzy skał, zasłaniających wejście do legowiska. Wychodzili rozprawiając żywo i gromadząc się w zbity tłum na małej przestrzeni, naradzając się przed zapuszczeniem w gestwinę leśną. Wilko znajdował się tuż za kapitanem, dotknął się jego ręki szepcząc:

— Oni mówią, że na nic się nie przyda czekać tu dłużej, ponieważ Sihal gdzieś się zapodział, może po zapasy poszedł z żoną do miasta i coś ich tam zatrzymało, trzeba zatem iść samym na brzeg morski do zatoki rangorskiej i obozować tam wygodnie, upatrując okrętu handlarskiego; gdyby inny się zbliżał, dość będzie czasu wtedy cofnąć się do „doliny w skałach”. Inaczej, okręt handlarski nie ośmieli się przybić do lądu bez sygnałów Sihala, nie widząc na brzegu gromady swoich znajomych.

(d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI.

W stanach zjednoczonych Ameryki północnej, w mieście Ottamawa, którego okolice obfitują w kopalnie węgla, powzięto myśl wybudowania zamku z węgla. Budynek ten stanie w dawnym korycie rzeki, na olbrzymich słupach, również z węgla wzniesionych. Zajmie on przestrzeń 230 stóp długą i 130 szeroką i pomimo swych wielkich rozmiarów będzie kosztował tylko 30,000 dol. Zamek zawierać będzie liczny szereg pokoiów, a między innemi salę teatralną dla 6,000 widzów, nadto zaś wiernie skopiowane kopalnie węgla, ogród i wodospad. Do kopalni prowadzić będą dwie windy z głównej, 150 stóp wysokości wieży zamku. Niezwykły gmach ma być niezadługo gotowy.

Foki uważane są za najszkodliwsze zwierzęta dla ryb morskich, duńskie więc stowarzyszenie rybołówstwa wspólnie

z ministeryum spraw wewnętrznych od października roku zeszłego urządziło systematyczne ich tępienie. Za każdą zabita fokę na morskiem terytorium duńskim, towarzystwo płaci trzy korony nagrody, a dla ludzi, którzy położą na polu tępienia fok specjalne zasługi, przeznaczone są osobne nagrody. Głowy zabitych zwierząt muszą być składane, jako dowody, w muzeum zoologicznem w Kopehadze,

## ZADANIE KONIKOWE.

w zie	mi	pas	w tem	ply	się	pług	we
o	a	nie	ślad	cza	so	ko	za
czne	mi	gdy	jak	dłu	tak	tak	łem
niół	gni	gi	pa	łem	tę	nim	łek
w gó	wdzie	chło	sty	a	mi	czo	kiem
sty	pro	gle	łza	da	z o	ci	świe
się	rę	ni	pek	zle	ta	i	je
mie	na	wa	wzła	da	bi	ci	le

## HOMONIM SZARADOWY.

Tego, co naprzykład, wiatr z łatwością zmiecie  
Przymiotnikiem żeńskim będzie, pierwsze, trzecie,  
Pierwsze znowu lecz; drugie, trzecie, wspiera,  
Drugie jest zaimek, a trzecie litera.  
Wszystko, ku wygodzie niegdyś używane,  
Dziś, prawie już tylko dla chorych jest znane.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 40-go.

### Zagadki homonimu:

G r a n a t y.

### Kwadratu magicznego:

k	o	s	a
o	w	a	d
s	a	l	a
a	d	a	m

## PIERWSZA KSIĄŻECZKA DO CZYTANIA

**H. WERNICA.**

Wyszła z druku, nadająca się znakomicie do nauki prywatnej i w szkołkach początkowych, **cena kop. 25.**

TRESC: Pożar Alhamby p. H. T. (z drzeworytami). — W złotej klatce, opowiadanie z prawdziwego zdarzenia p. Cairo. — Kwiatek, wiersz p. Z. Morawską. — Kakao p. Henryka Wernica. — W Indyach (z drzew.). — Rozmaitości — Łamigłówni i rozwiązania. Dodatek: Rozmowa z Trezorem, wiersz (z drzew.) — Założmy się i jak mamę kocham p. H. Chr. — Naparstek Janinki p. Annę Załęską. — Łamigłówni i rozwiązania. Dodatek książkowy: Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).

## Rozmowa z Trezorem.

— Co za wycie? Czy być może?  
To ty, szkaradny Trezorze,  
Szczekasz, wyjesz i przed czasem  
Ze snu mnie budzisz hałasem?”  
— To ja, Kaziu... Ja myślałem,  
Że kto nie jest dzieckiem małym,  
Musi wstawać z łóżka rano  
By leniuszkiem go nie zwano...  
— No... zapewne... Lecz skąd, proszę,  
Trezor wścibiać swe trzy grosze  
Nabrał prawa? Mnie, morały  
Prawić? Trezor nazbyt śmiały!

## Założmy się i jak mamę kocham.

Janek, dziesięcioletni chłopczyk, chętnie się brał do książki, pilnie się uczył i widoczne w naukach czynił postępy; przytem posłuszny, grzeczny, prawdziwą był rodziców pociechą.

Ale (jedno było *ale*), od pewnego czasu nieznośnego nabył przyzwyczajenia i od takowego, mimo ostróg rodziców i napomnień nauczyciela, nie starał się odzwyczaić, to jest że, nie zważając nawet do kogo zwracał swoją mowę, co chwila powtarzał! „założmy się”.

Gdy na przykład, matka mówiła: Janku, powtórz jeszcze lekcję, bo może nie umiesz. — Janek natychmiast



— Może, Kaziu... Lecz wiem o tem,  
Że mnie lubisz. Czy to z kotem  
Czy mam zatarg z pokojową,  
Zawsze za mną rzekniesz słowo;  
W każdej trosce czy potrzebie  
Wierną pomoc mam u ciebie,  
Więc wywdzięczam się, czem mogę,  
Dobłą daję ci przestrozę:  
Wstawaj, Kaziu, wielka pora!  
— Ha, cóż robić! I Trezora  
Słuchać trzeba, kiedy radę  
Dobłą daje. Zaraz kładę  
Już ubranie, i po chwili  
Będziem obaj się bawili.  
Biedz po rosie tak przyjemnie!  
Cóż? czy kontent Trezor ze mnie?

się odzywał: Założmy się, że umiem. Skoro ojciec wychodząc z nim na spacer powiedział: Janku weź paltocik bo może deszcz będzie, — Janek swoje: Założmy się, że będzie pogoda, bez namysłu powtarzał. Kiedy nauczyciel zwracał mu uwagę, żeby się pilnował, bo zadanie arytmetyczne źle wypadnie, on swoim: Założmy się, że dobrze, zaręczał. Kiedy babcia lub ciocia czego szukała, Janek gotów do usługi, znów swoje: Założmy się, że ja znajdę, powtarzał. Słowem, tak częste powtarzanie jednych wyrazów, stało się w końcu nieznośnem dla wszystkich. Zakazywał ojciec, ganiła matka, przestrzegał nauczyciel, wyśmiewali go koledzy, gdy się w ciągu zabawy ze swoim: „założmy się” wyrывał, nic to nie pomagało, bo Janek przyrzekał, że się powstrzymywać będzie, ale przez nieuwagę, za godzinę do swego złego nawyknienia powracał.

Raz, w czasie lekcji, nauczyciel po jego wykrzy-

kniku: „założmy się” powiedział mu: — Dobrze Janku i owszem, założmy się.

— Jakto? — zdziwiony Janek zawołał — pan profesor naprawdę założyliby się ze mną? A o co?

— O to — odrzekł nauczyciel — że ze dwadzieścia razy jeszcze do wieczora użyjesz tych wyrazów.

— A co dostanę jak pan przegra? — spytał wesoło Janek, któremu nadzieja jakiejś wygranej uśmiechała się z góry.

— Nic nie dostaniesz — odparł z uśmiechem nauczyciel — tylko, jeżeli powstrzymasz się przez cały dzień i ani raz tego nie powtórzysz, powiem ci, że jesteś rozumnym chłopcem.

— Alboż to ma być już mądrym, kto tych wyrazów nie używa? — zawołał Janek.

— Nie jest jeszcze mądrością samo ich unikanie — odrzekł nauczyciel — lecz to stanowi prawdziwą mądrość człowieka, gdy tenże umie zapanować nad złem nawyknięciem, stara się zwyciężyć w sobie choćby najmniejszą wadę i pracuje usilnie nad wykorzenieniem każdego, nieopatrznie nabytego nałogu. I cóż, czy przystajesz na moją propozycję, chcesz być nazwany mądrym?

Janek podumał trochę, nieco się zawahał, lecz obietnica zyskania tak pięknego przydomka przeważała i wykrzyknął wesoło:

— Dobrze, dobrze, przystaję, ale niech pan profesor przy wszystkich, dziś wieczorem nazwie mnie: mądrym człowiekiem.

Nauczyciel przyrzekł i lekcya ciągnęła się dalej. Raz tylko Janek zaczął: „założ”... lecz spojrzawszy na nauczyciela urwał, nie dokończywszy wyrazu. W ciągu dnia, przy obiedzie, w czasie zabawy z siostrzyczką wysunęło mu się owo: „założ”... nie domówione na szczęście. Dziwiła ta baczność mamę Janka i wielce się tą poprawą cieszyła, nie wiedząc czemu ją przypisać; zwróciło to uwagę jego siostry Marychny o rok tylko od niego młodszój, przeto zapytała brata, dla czego tak się dziś pilnuje, że nawet nie dokończy całego wyrazu? Na to Janek tajemniczo jej odpowiedział: — To mój sekret, dowiesz się o tem później.

Skoro wieczór nadszedł, i wszyscy domowi po całodziennych zatrudnieniach zasiedli koło stołu do herbaty, nauczyciel zapytał swego ucznia:

— No, Janku, a cóż nasz zakład?

— Ja wygrałem — zawołał z tryumfem chłopczyzna — ja wygrałem! niech mama zaświadczy, że ani razu tak nie powiedziałem.

Zwróciła ta rozmowa uwagę wszystkich, a rodzice zapytali coby to znaczyło. Nauczyciel opowiedział o zrobionym układzie z Jankiem i na zakończenie wskazawszy nań ręką, rzekł uroczystym tonem:

— Przedstawiam państwu: rozumnego chłopca.

Wszyscy zebrani radośnie przyklasnęli powtarzając:

— Witamy, witamy roznmnego chłopca!

Po chwili, matka spojrzawszy na siedzącą obok nię córeczkę, rzekła z uśmiechem: — Bardzo się tem cieszę, lecz chciałabym również, abyśmy mieli przyjemność mieć i rozumną panienkę. Marychna spuściła oczy

i zarumieniła się cokolwiek. Zrozumiała bowiem do czego mama stosuje te wyrazy, gdyż miała naganny zwyczaj powtarzać: „jak mamę kocham”. Wprawdzie, nie tak często jak Janek wymawiała swoje przysłowie, lecz jej nieraz mama, babunia i ciocia zwracały uwagę, że nie powinno się bez potrzeby takimi wyrazami szafować, gdyż miłość ku rodzicom nie zasadza się na gołosłownem wypowiedaniu, że nawet może to być lekceważeniem i brakiem poszanowania. A co więc: powinni się dzieci strzedz bardzo, aby ta przysięga nie posłużyła im kiedy do potwierdzenia kłamstwa i nie obróciła się na fałszywe świadectwo, czemby właśnie wykazały, jak mało mają w sercu ku rodzicom téj rzeczywistej miłości, która nie ogranicza się na próżnym słów dźwięku.

— Jakże tedy Marychno — spytała babunia, spojrzawszy na zafrasowaną minę wnuczki — czy masz ochotę, żeby cię jutro mama nazwała: rozumną panienką?

— I owszem — zawołała Marychna, całując matkę w rękę — proszę niech mateczka jutro przy wszystkich tak powie; będę się starała na to zasłużyć.

Skoro następnego dnia znów cała rodzina o téj samej godzinie zgromadziła się do jadalnego pokoju, ojciec spoglądając się na Marychnę zapytał:

— A cóż, czy możemy się cieszyć, że mamy pośród nas rozumną panienkę?

Matka z uśmiechem zadowolenia położyła rękę na głowie córeczki, zaświadczać że tak jest istotnie, mimo następczących się ku temu okoliczności, Marychna ani raz nie powiedziała: „jak mamę kocham”, co też babcia wraz z ciocią potwierdziły.

Ojciec przyciągnął do siebie i ucałował rozradowaną córeczkę, i przez cały wieczór na wyścigi Janek nazywał Marychnę: mądrą panienką, a ona jego: mądrym chłopczykiem. Odtąd oboje odzwyczaili się zupełnie od używania swoich wykrzykników. Wprawdzie w pierwszym tygodniu wymykało się jeszcze niekiedy z ich ust: *założ*... i *jak ma*... jednak w końcu i to zupełnie ustało i przekonali się na sobie samych dowodnie, że niema tak zadawnionego przyzwyczajenia, od któregooby przy dobrej woli i pilnej uwadze, nie można odwyknąć, nawet w bardzo krótkim przeciągu czasu.

H. Chr.

## NAPARSTEK JANINKI.

p. Annę Załęską.

(Dokończenie).

Janinka patrząc w okno, spostrzegła, że słońce, choć jeszcze jaskrawe, już zupełnie się obniżyło.

— Czy to się już wieczór zbliża — pomyślała z żalem. Wtem zegar wydzwonił czwartą.

— O biednaż ja — zawołała Janinka — teraz, choćby się już i znalazł ten niegodziwy naparstek, nie zdążyłabym tak prędko obrąbek wykończyć, żeby był jeszcze czas pójść na ślizgawkę. Już wszystko stracone.

I usiadłszy w kącie, ukrywając w drobnych rączkach rozpaloną twarzą, gorzko płakała.

Dobrej cioci bardzo żal było, że taka przykrość spotkała powierzoną jej na dzień ten dziewczynkę. Ale matka Janinki nie miała powrócić aż w wieczór, a wolę jej i przekonania znała doskonale. Nie mogła więc nic poradzić.

Janinka długo płakała, aż dostała bólu głowy, co widząc ciocia przyniosła jej poduszkę, namówiła do położenia się na kanapce, a gdy splakane oczy mrużyć się zaczęły, wyszła pocichu z pokoju i drzwi zamknęła.

Jak długo spała Janina, niewiadomo; lecz gdy otworzyła oczy, dzień jasny już dawno ustąpił miejsca nocnym ciemnościami. Mrok zupełny panował w dużym pokoju, a kąty odznaczały się przerażającą czarnością. Janinka nie mogła zrozumieć, gdzie jest i co się z nią stało. Czuła tylko, że jej głowa ciężka, że twarzyczkę ma gorącą, i że nie jest ani w swoim pokoju, ani w swoim łóżku. Tam, gdy się w nocy obudzi, nigdy nie jest ani tak ciemno, ani tak samotnie. Nocna lampa pali się na stoliku, a mała siostrzyczka śpi niedaleko.

— Więc gdzież to ja jestem — pomyślała Janinka i choć była odważną, przebiegł ją dreszcz jakiś, przymknęła oczy, a naciągawszy na głowę szal, którym była okryta, zaczęła sobie przypominać różne straszne historie, o duchach i strachach, które opowiadała piastunka Zosi.

Nagle, o dziwo! w tym pustym pokoju dało się słyszeć lekkie, lecz wyraźne pukanie, potem jakby turkot jakiś.

Janinka podniosła głowę i odważyła się spojrzeć. Ale noc straszna nic jej widzieć nie dała, a hałas nie tylko że nie ustawał, lecz wzmacniał się i przybliżał ku niej. Przytem mrużenie jakiegoś, ciche stąpanie do najwyższego stopnia doprowadziły trwogę biednej samotnicy.

— Boże, ratuj — pomyślała — to niezawodnie północ i jakaś okropna rzecz tu się stanie. Nie, nie mogę widzieć i słyszeć dłużej — i napowrót, zamknawszy oczy, uszy zatkała rękami i nawet głośniejszemu odetchnąć nie śmiała.

Wtedy zaczęła się spokojniej zastanawiać.

Przypomniła sobie, że mama jej nieraz mówiła, że strachów żadnych niema, więc bać się ich nie trzeba, że bajkami są wszystkie o nich opowiadania i że wstyd być tchórzem, a najlepiej starać się zbadać, gdy czegoś nie rozumiemy. Przez tę chwilę rozważania, przypomniała sobie także Janinka całą historię zmartwienia swego i oprzytomniała zupełnie.

— Tak, będę odważną — rzekła półgłosem, i przy tych słowach stanowczym wysiłkiem woli, zrzuciła z siebie szal, i pomimo że serce młotem biło od strachu, postanowiła stawić czoło wszelkiemu niebezpieczeństwu.

Zerwała się z sofy i w stronę drzwi pobiegła.

Okropność! Turkot toczącego się przedmiotu wyraźnie za sobą usłyszała. Ale cofać się było za późno i nawet nie chciała.

Otworzyła drzwi szybko, ale nie sama przez próg przebiegła. Wtoczył się wraz z nią, jakby najniewinniejszy, jej tak poszukiwany, tak opłakiwany naparstek, a za nim w zręcznych podskokach jej ulubiony kotek

Burek, który w braku myszki obrał go sobie za zabawkę.

Janinka rozśmiała się ze swojej obawy, ale nim jeszcze nadchodzącej cioci opowiedziała całe zdarzenie, podniosła z ziemi i dobrze zamknęła w szufladce naparstek.

Ciocia i mama po powrocie do domu, ucieszyły się, gdy im Janinka opowiedziała, że naparstek jest już, że go Burek znalazł i że odtąd będzie o nim dobrze pamiętała. Pochwaliły ją także za rozsądek i przytomność umysłu, których dała dowód, opierając się dzieciennym strachom, gdy sobie przypominała rady i nauki matki.

## SZARADA.

ułożyła Niezapominajka z nad Jabłoni.

*Pierwsze w alfabecie litera,  
Trzecie w cyfrach się zawiera  
Pierwsze trzecie, dobrze wiecie,  
Wielu nędz w Indyi przyczyna;  
Drugą trzecią główka mała  
Co nauki nie poznała;  
Wszystko wyborna jarzyna.*

## ŁAMIGŁÓWKA.

1. Spółgłoska.
2. Stworzenie jadalne w skorupie.
3. . . . .
4. Narzędzie wzroku.
5. Samogłoska.

Rząd środkowy w szerz i środkowe litery w poprzek, utworzą imię téj, do której wcześniej trzeba się zabierać, żeby jej dużo nabyć.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 40-go.

### Szarady:

P o ł o w y.

### Łamigłówki kryształowej:

				K				
				K	R	A		
			S	Z	A	F	A	
		P	Ł	A	S	Z	C	Z
K	R	A	S	I	Ń	S	K	I
		S	H	A	N	N	O	N
			W	I	S	Ł	A	
				O	K	O		
					I			

## Skrzynka do listów.

**W. An. Gor.** Najchętniej uczynimy zadość życzeniu Szanownej Pani i Wieczory wysłać będziemy bez przerwy.

**Cyganeczkę** jak najmiliej witamy w gronie korespondentek zarówno jak i w gronie **Cyganeczek**, których kilka przysłało nam. Liściki chętnie drukować będziemy, gdy koić na nie przyjdzie, (na co, uprzedzamy, że nieraz długo czekać trzeba) prosimy jednak aby liściki zawsze były pisane na osobnej karteczce, gdyż przepisywanie za dużo zabiera czasu. Niteczka Aryadny wadliwie ułożona nie może być drukowaną, niech Cyganeczka przyjrzy się tej, na którą chciała odpowiedzieć.

**Niezapominajko z nad Warty**, nie ty jedna dopytujesz się tak serdecznie o naszą Gołąbkę. Przypuszczamy, że w tym miesiącu wrócić powinna. Józio rzadko pisuje, bo młodzieniaszek, w jego wieku tyle ma obowiązkowej pracy, że nie łatwo mu przychodzi znaleźć czas na amatorską. Nie zaniedbywał się w nauce, promocją dostał, wakacje spędzał na wsi, teraz już znowu zabrał się do nauki.

Dlaczegoż to ten Łabędź z nad Żywu nie pisał od tak dawna? dopiero siostrzyczka, **Kampenella Nr.2**, przyłączając się do grona korespondentek wspomniała o nim.

Tak **Zorza Północna** jak **Gałązka Osiny** i **Jaskółka z Czerwonej Rusi**, trafiły dały odpowiedź. Tak dziewczeczki drogie, zawsze i wszędzie „trzeba się przezwyciężyć” bo na umiejętności panowania nad sobą polega wartość człowieka. Poczekamy jeszcze na odpowiedzi innych naszych czytelników; tymczasem zaś **Zorzy Pół.** odpowiadamy za Gołąbkę, że konkurs robót niedługo rozstrzygnięty zostanie. Nie dziwny się, że kto tak ładnie małemi jeszcze paluszkami szyje, temu pilno dowiedzieć się, co tam o nim myślą; ale... „przezwyciężyć się trzeba”. Tę większą potem przyjemność sprawi upragniona wiadomość.

Miło nam było niezmiernie odezwanie się „niegdyś” **Induktora Ruhmkorffa**, który zapewne teraz uznał słuszność słów, które mu dawniej sprawiły trochę przykrości. Podziwiamy pamięć, która przez kilka lat przechowywała wspomnienie takiej drobnostki.

Jakkolwiek odpowiadamy na listy przychodzące do Gołąbki podczas jej nieobecności, chowamy je jednak dla niej, aby ją nie pozbawiać przyjemności czytania tak zajmujących opisów, jak ten, który jej **Gama C-dur** przysłała. Tę wdzięczniejszą będzie Gołąbka, że na list do niej zużytkowałaś ostatnie chwile przedłużonego odpoczynku wakacyjnego. Wyobrażamy sobie z jaką przyjemnością zabierzesz się teraz do pracy!

Nie potrzebujesz pytać o to **Czarodziejko**, czy **Złotą pszczołką** zostać możesz. Od czegoż jesteś „Czarodziejką”?

**Adela T.** i **Stefan Jur.** nadesłali dobre rozwiązanie łamigłówek i szarady.

Kochany Rycerzu Błękitny! Przeglądając dawne numery **Wieczorów**, spostrzegłem twój pseudonym i tak mi się spodobał, że postanowiłem do ciebie napisać. Imię moje Jerzy mam lat 15, mieszkam w Warszawie, uczę się w domu. Lato zwykle przepędzam na wsi. Napisz także coś o sobie. Twój *Ikar*.

Powiedzcie mi drogie moje przyjaciółeczki, dlaczego między wami niektóre panienki otrzymują tyle miłych liścików, choć nie zawsze odpowiadają na nie, gdy znowu inne nadaremnie ich oczekują? Od pół roku zacząłem pisywać do **Wieczorów**; a każdy numer z gorączkową niecierpliwością oczekuję, a otrzymawszy szukam w „skrzynce do listów” choć jednego słowa do siebie zwróconego, i zawsze na próżno! Pisujecie do mnie miłe moje a z pewnością żadna nie zawiedzie się, z największą przyjemnością zawsze wam odpowiem. Żegnaj was uściskiem polecając się pamięci waszej. Westalkę całuję serdecznie i dziękuję za odpowiedź. Życzliwa *Sosenka*.

**Milutka Córko Mazurów!** Dowiedziawszy się, że trzymasz **Wieczory**, postanowiłam odezwać się do ciebie; wprawdzie widziałam cię tylko dwa razy, ale czuję wielką do ciebie sympatię i ra-

dabym częściej cię widywać. Co robi twój śliczny braciszek **Zygmus**, któryby mi się bardzo podobał gdyby nie był takim mazgajem. Zgadnij kim jest szczerze ci życzliwa *Genialna Marzycielka*.

Drogi moje: **Halko z Litwy** i **Czarodziejko!** Bardzo mi się wasze pseudonymy podobają; **Halko** droga z twojego pseudonimu widzę, że twoją ojczyzną jest Litwa. Ty **Czarodziejko** donieś mi dlaczego taki obrałaś sobie pseudonym? Może miło wam będzie wiedzieć, że jestem wysoką 12-letnią Marylą. Mieszkam na wsi w Prusach zachodnich. W październiku pójdę na pensję do Urszulanek do Berlina. Bardzo lubię psy. Już trzeci rok mam **Wieczory** i jestem ich bardzo pilną czytelniczką. Jak wam się podoba **Druga Matka**? Ja jestem zachwycona tą powieścią. Donieście mi czy uczycie się w domu? ile macie lat? Chciałabym także dowiedzieć się jakie są wasze imiona? Może zechcecie odpisać *Trawce z nad Tryby*.

Kochana **Kuropatewko z nad Warty!** Jestem od ciebie prawie dwa razy starszą, ale mimo to będziemy się kochać i rozmawiać przez nasze pocztowe **Wieczory**. Podobałaś mi się właśnie za to że jesteś mała, bo mam braciszka **Kazia** i cztery siostrzyczki młodsze od ciebie. Na imię mi **Jadzia**, uczę się przy nauczycielce. Co do posiadania kury, kurczątek i ogródka, to jednakowo jesteśmy szczęśliwe. W ogródku moim wszystko ładnie rośnie. **Kurczęta** wyrosły na duże czubate kurki, co mię bardzo cieszy. Miałam stratę, bo moja krówka zginęła. *Jaskółka z nad Bohu*.

Kochana **Filaretko!** Ty jesteś pierwszą, kochana siostrzyczko, do której list posyłam przez **Wieczory**, naprzód przedstawiam ci się. Jestem bardzo wysoką, dość szczupłą, jasną blondynką i mam szaro-bure oczy, w październiku skończę lat 12. Mieszkam na wsi ale już byłam parę razy w Warszawie, i dwa razy w Krakowie gdzie oglądaliśmy z mamą groby na Wawelu. Zdaje mi się miła **Filaretko** że jesteś stałą mieszkanką Warszawy, czy tak? Napisz mi proszę jak wyglądasz, gdzie mieszkasz, ile masz lat i czy ci się podoba powieść w dodatku: **Druga Matka**? bo mnie podobają się najwięcej powieści dodatkowe, jakże zajmujący był **Szesnaścioletni Wojewoda**! czyż czytałaś w imię koleżeństwa. Brat i siostra, **Prześladowanie** (powieści dawniej wydawane) bo my prenumerując od paru lat **Wieczory** mamy te wszystkie powiastki. Napisz mi także czy czytałaś początek **Wyspy Atlanty**, jeżeli nie, to cię objaśnię w następującym liście jakiego sposobu użył **Abrakadabrus** dla pogodzenia tych trzech półgłówków (tak ich niegrzecznie nazwał) a teraz kończę z obawy aby **Redakcja** listu nie obciąla. Kochająca *Balladyna*.

Kochany **Filozofie**. Na imię mi **Adam**, mam lat 12, chodzę do drugiej klasy **żytomirskiego gimnazjum**. Wakacje przepędziłem za granicą. Bardzo lubię historyczne powieści, a tobie jaka powieść najlepiej podoba się w „**Wieczorach**”? Bo mnie „**Z wyspy Atlanty**”. Kończę oczekując z niecierpliwością odpowiedzi. Całuję cię serdecznie. *Odwážny Pływak*.

**P. S.** Dlaczego **Straszny Mróz** i **Kłosek Podolski** nie odpowiadają mi? Odpiszcie prędko, bo się pogniewam.

Najdroższa **Niezapominajko z nad Warty!** Liścik twój wielką zrobił mi przyjemność i szczerze ci dziękuję. Na imię mi **Anna**, mieszkam o cztery mile od **Lwowa**, w miejscu kąpielowym; w lipcu kończę lat 14. Od dwóch lat należę do konkursów. Kwiatkiem moim ulubionym jest „**Niezapominajka**”, dla tego też i ciebie polubiłam od razu. Proszę cię opisz mi siebie. Przysyłam ci trylion całusków. *Białonóżka z pod Karpac*.

**P. S.** Wszystkim cztelnikom „**Wieczorów**” przesyłam serdeczne uściśnienia.

Droga **Czarna Perelko**. Jestem ci bardzo wdzięczną za twój miły liścik i odpisuję natychmiast. Miałam także siostrzyczkę **Janię**, którą bardzo kochałam i którą straciłam. W ogródku moim wychodziłam piękne kwiatki i warzywka. Kończę i posyłam ci dziesięć całusków. *Kuropatewka z nad Warty*. Pracę **Adelcie N.** ściskam serdecznie.